

Lista krajowa

Wiosną 1989 r. byłem studentem trzeciego roku matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, średnio zaangażowanym w politykę. Byłem członkiem NZS, rok wcześniej uczestniczyłem w strajku okupacyjnym na miasteczku studenckim (Jerzy Urban, ówczesny rzecznik rządu, nazwał go „samoaresztem”). Z drugiej strony muszę przyznać, że dość odstręczał mnie radykalizm większości działaczy NZS na UJ w tym czasie, wielu z nich było członkami organizacji Wolność i Pokój, aktywni byli też anarchiści. W UJ-owskim NZS – jako osoba popierająca rozmowy z komunistycznym rządem przy Okrągłym Stole – byłem w zdecydowanej mniejszości. Gdy zapadła decyzja o wyborach czerwcowych, zgłosiłem się jako ochotnik do biura Komitetu Obywatelskiego na przy Szewskiej i w czasie kampanii przez kilka tygodni obsługiwałem tam kserograf. Jedną z osób, które pamiętam z tego biura, była Katarzyna Kolenda, dziś znana dziennikarka TVN.

Tamte wybory były naprawdę wielkim przełomem. To prawda, że tylko 161 z 460 miejsc w Sejmie zostało obsadzonych w sposób całkowicie demokratyczny. Trzeba jednak dodać, że całkowicie wolne były wybory do Senatu, natomiast – poza 35 mandatami wybieranymi z listy krajowej, na pozostałe 264 miejsca mogli kandydować członkowie sankcjonowanych w PRL partii, niekoniecznie rekomendowani przez ich kierownictwa. W efekcie były one często również konkurencyjne, to, jacy ludzie zostali z nich wybrani, okazało się później zresztą nie bez znaczenia przy tworzeniu rządu Mazowieckiego i reformach Balcerowicza. Głosowanie 4 czerwca (i druga tura dwa tygodnie później) było więc w istocie bardziej demokratyczne niż tylko te mityczne 35%; najważniejszy był jednak fakt, że społeczeństwo po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat miało rzeczywisty wybór.

Oczywiście kluczowe było zapewnienie uczciwości głosowania. Bardzo zależało mi, by zostać członkiem komisji wyborczej z ramienia Solidarności. Okazało się, że do tego potrzebny jest list rekomendacyjny od Komitetu Obywatelskiego. Uzyskałem go dzięki poparciu profesora Andrzeja Pelczara z naszego wydziału, członka

Komitetu, którego dość dobrze znałem (obaj zresztą byliśmy absolwentami V LO w Gdańsku). I tak zostałem członkiem komisji wyborczej, której siedziba mieściła się w Biprostalu (tam zresztą życie rzuciło mnie ponownie 26 lat później na pewien czas). Z głosowania 4 czerwca pamiętam przede wszystkim napływające informacje ze świata o masakrze na placu Tiananmen oraz o pogrzebie Chomeiniego (które to wydarzenia rzeczywiście „przykryły” polskie wybory w światowych mediach) oraz nocne liczenie głosów. Przy czym z wszystkim, poza listą krajową, poradziłem sobie mniej więcej w godzinę, nad nią natomiast siedzieliśmy do 7 rano. Były trzy rodzaje głosów na listę krajową (mniej więcej w podobnej liczbie): bez skreśleń, z całą listą skreśloną oraz ze skreśloną częścią z 35 kandydatów. Oczywiście ta ostatnia grupa głosów zabrała nam najwięcej czasu. Jednym z problemów była interpretacja przekreślenia na krzyż całej listy – zgodnie z tą, którą otrzymaliśmy, za skreślone uważano tylko te osoby, które obejmował cały krzyżyk. W związku z tym ostatni kandydat na tej liście, Adam Zieliński, dostał wiele głosów z całą pewnością niezgodnie z intencjami wyborców i dzięki temu okazał się jedynym, obok popularnego wtedy Mikołaja Kozakiewicza, który w efekcie został wybrany z tej listy.

Okazało się, że moje zaangażowanie w politykę w 1989 r. dziwnym zbiegiem okoliczności pośrednio miało również duży wpływ na moją późniejszą działalność naukową. Nie byłem w stanie zdać wszystkim egzaminów w sesji czerwcowej i kilka z nich przełożyłem na wrzesień. Wcześniej planowałem pisać pracę magisterską z analizy funkcjonalnej, jednak egzamin z funkcji analitycznych u prof. Józefa Siciaka poszedł mi wyjątkowo dobrze (choć wszyscy mnie przed tym straszili, ale może właśnie dzięki temu byłem dobrze przygotowany) i ostatecznie zdecydowałem się na pisanie pracy magisterskiej u niego. Później zresztą, też pod jego kierunkiem, pisałem doktorat i z dzisiejszej perspektywy oceniam, że był to w tamtej sytuacji najlepszy możliwy dla mnie osobiście wybór, choć tak naprawdę wiele było dziełem przypadku.

ZBIGNIEW BŁOCKI

Mój czwarty czerwca 1989 roku

To była w zasadzie zwyczajna niedziela. Mieszkaaliśmy z żoną i dwójką dzieci już od kilku lat na Białym Prądniku, w zasadzie na peryferiach Krakowa, na granicy z Witkowicami i Górką Narodową, skąd blisko było do jurajskich skałek i dolinek. Żona pracowała jako kustosz w Muzeum Archeologicznym, ja na etacie profesorskim w Instytucie Archeologii UJ, córka kończyła, jak co roku chwalębnie, trzecią klasę liceum, syn trzecią klasę szkoły podstawowej. Był piękny, ciepły, słoneczny, letni dzień. A jednak ta niedziela nie była całkiem zwyczajna, była jedną z najważniejszych, jeśli nie najważniejszą w całym moim dotychczasowym życiu. Na murach, słupach, na szybach różnych lokali rzucały się w oczy plakaty wyborcze kandydatów Solidarności, zawsze w towarzystwie Lecha Wałęsy, a także wielkie portrety bohatera

filmu *W samo południe*, na tle napisu SOLIDARNOŚĆ. Tymi plakatami oblepiony był budynek szkoły, nasz punkt głosowania. Naprawdę niezwykle było to, że zarówno w drodze, jak i w samym lokalu wyborczym ludzie się do siebie UŚMIECHALI, co w Polsce było wtedy rzadkością. Wszędzie widać było oznaki wzajemnej sympatii i częste były porozumiewawcze gesty w postaci wzniesionych w górę palców tworzących literę V. Po głosowaniu pojechaliśmy z żoną i dziećmi w okolice fortu Marszowiec, celu naszych niedzielnych wypadów za miasto, trzymając mocno kciuki za powodzenie naszego przyjaciela Jurka Zdrady, ówczesnego kandydata na posta. Tak zapamiętałem ten dzień czwartego czerwca, który na lepsze zmienił, wtedy wydawało się raz na zawsze, oblicze mojej Ojczyzny.

BOLESŁAW GINTER